

Karol  
Samsel



# Nie- możliwość Piety

Warszawa 2023

**CZEŚĆ  
PIERWSZA**

*Jung adolescentis*

---

## **ROZDZIAŁ 1**

### **Popiełuszko**

Cieszył się, że Bóg obdarzył go umysłem wyciszonym. A gdyby tak miał umysł Hansa Castorpa? Odkąd go poznał, uważał, że Mann nie mógł dokonać niczego gorszego niż zmaterializowanie takiej właśnie umysłowości. Nie żeby on sam nie był egzaltowany, mając dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, w jego postawie nie było jednak owego właściwego Castorpowi tępego wrażenia odbioru przez siebie samego świata i własnej moralności. Owszem, on sam też stawał się raz za razem żaloszny, postacując się w swoim stanie w tautologiczny, identyczny niemalże sposób. Twierdził jednak, że był to przejaw braku wyrachowania, przede wszystkim braku mrocznych skrupułów, a takie Mann w Castorpie zawierał – aby ostatecznie wystawić je na światło. Z bezwzględnością. Ten krzyż z 1996 roku, dajmy na to. Do jego rodzinnego miasta przyjechała Marianna Popiełuszko, aby wziąć udział w poświęceniu sakralium. W najmniejszym z krzyżyków spojonych z krucyfiksem fundamentowym miały znajdować się resztki ubioru jej syna z momentu zakatowania go. Rzecz była dla niego zupełnie wyjątkowa, chociaż wiele lat później dostąpił uczestnictwa w cudzie. W mo-

mencie beatyfikacji Popiełuszki na placu Piłsudskiego w Warszawie otrzymał niewielki portrecik duchownego. Twarz z kwiatem, nieikonograficzna, nieikonostatyczna, *à la longue* szarzejąca od słońca, z dopinanym od tyłu, otasiemkowanym kawałkiem jego sutanny.

Tak właśnie uważał. Castorp był o wiele mroczniejszy, nie, to nie to słowo, o wiele bardziej demoniczny od Settembriniego i Naphty. Dlatego tak bardzo kojarzył mu się z Popiełuszką, bo fizjonomia Popiełuszki zawsze robiła na nim potworne, wieloznaczne wrażenie. Nie dziwny mu się. Rokrocznie jego matka zabierała go, dwunasto-, trzynastoletniego, na pielgrzymkę autokarową do kościoła Świętego Stanisława Kostki na Żoliborzu. A jeżeli akurat nie do Świętego Kostki, to na Jasną Górę – i wówczas prawie zawsze zatrzymywali się na godzinę lub dwie na Popiełuszkowym Żoliborzu. Za którymś razem, podczas podobnego z przystanków (to musiał być któryś z wrześniów przed nastaniem milenium), zobaczył jego czarną, zmasakrowaną głowę na jednym ze zdjęć albumowych w książce lub księdze, którą zakupił w sklepie z dewocjonaliami. Po dojechaniu na miejsce, w Domu Pielgrzyma, w pokoju współdzielonym z matką oraz starszą kobietą, którą znał przelotnie z parafii, nie potrafił zasnąć.

Wierzył w Boga i dobrze rozumiał, czym jest dewocja. Niewiarygodne, przynajmniej dla mnie, ale potrafił zrównoważyć jej szczerą ze szczerością agnostycyzmu. Kto widział go w podobnym działaniu, rozumiał, że postępował po wirtuozersku. Rozjaśniał przestrzeń. Dlatego uważam, że byłby w stanie napisać swoją *Czarodziejską górę*, a w niej scharakteryzowałby wzgórze jasnogórskie tak, jak Mann scharakteryzował Davos, a Kordeckiego, powiedzmy, jak Mann – Settembriniego. Miał rys geni-

szu, do tego katolickie wychowanie oraz odrobinę szczerzej ekstrawagancji i nietypowości. Wyruszał na pielgrzymkę jak nomada, jak nomada odmawiał w autokarze dzięsiałki tajemnic różańca, choć to, co wydostawało się na powierzchnię jego ust, było oczywiście dziecięcym kwileniem. Kwilił, owszem, ale był w nim też element, może praelement, nie potrafię znaleźć lepszego słowa, czyniący go – choćby w wieku dwunastu lat – Jazonem, a jego podróż – podróżą do kresu nocy, podczas której (jeżeli mu się powiodło, a zatem jeżeli miał szczęście) znajdował swoje światło w ciemności, majestatyczne i groteskowe naraz, złote jasnogórskie, złote licheńskie, gietrzwałdzkie, świętolipskie runo, a jeśli podróż nie przebiegała zgodnie z planem, osuwał się w ciemność tak, jak wtedy za sprawą zmasakrowanej twarzy Popiełuszki.

Przychodziła wtedy „czarna noc z twarzą Murzyna”, jak powiadał Norwid, ale on jeszcze Norwida nie rozumiał. Ledwie pięć minut od jego domu mieściła się siedziba Civitas Christiana, tam przez kilka lat odbywały się niewielkie norwidowskie wieczorki, przed wejściem wystawiano zdjęcie starego Norwida, to Szweycerowskie, na które patrzył onieśmielony, niczego nie rozumiejąc. Czego właściwie nie pojmował? Chyba tego, dlaczego miałyby docenić uprawianie twórczości zupełnej, która jak Uroboros lub taniec Eurynome w lepszym lub gorszym wydaniu sprowadza się sama do siebie. Nie chciał tego, nie rozumiał, dlaczego miałyby rezygnować z wielkiej całości. Trwał pewnie rok 1998, dwusetlecie urodzin Mickiewicza, a on wykupywał wszystko, co pojawiło się o nim w lokalnej księgarni, nawet programy szkolnych lekcji, spisy mickiewiczianów, recytował na scenie miejskiego centrum kultury *Powrót taty*, a potem tonął we łzach, gdy

jego kreacja po rozstrzygnięciu konkursu przebrzmiewała bez echa. Taki był jego głód, pełen manieryzmów i ekstrawagancji, w których stąpała bojaźliwie, krok za krokiem, raz do przodu i po wielekroć do tyłu, jego powoli dojrzewająca emfaza. I taka była rzeczywistość o nim prawda, nawet jeśli trudno nam przyjąć zasadność mówienia o głodzie duchowym dwunastolatka. W czwartej, piątej klasie kupował po trzy, po cztery dostępne na rynku podręczniki języka polskiego, a następnie je czytał. W swoich dziecięcych wersjach toporności, infantylności i fanatyzmu taki właśnie był i dokładnie jako taki zderzał się z obrazami mu przeciwnymi, takimi jak „czarna noc z twarzą Popiełuszki”. Tu być może rodził się jego sadyzm, o którego osobliwej naturze powinniśmy wiedzieć więcej.

Po pierwsze, Obłomow. Powieść Gonczarowa kupił na ryneczku oddalonym o dziesięć minut drogi od jego ulicy. Było w nim jednak coś castorpowskiego, skoro pod wpływem takiej lektury organizował samemu sobie jedną po drugiej obłomówki. Ale zarazem nie było w nim niczego z Castorpa, gdy odczytywał finałową scenę samobójstwa Obłomowa i imaginował sobie inny, krwawszy jej przebieg. Nietrudno się domyślić, jak bardzo był rozczarowany tym, że Gonczarow nie wybadał dostatecznie potencjału wytworzonego przez siebie napięcia, prowadzącego do frenetycznej eksplozji, i że zdecydował się opowiedzieć agonię *praeparatio sedis*, urywającym się, niksującym głosem. I teraz zrozummy się dobrze, w żadnym razie nie był Herodiadą, ale na marginesie BN-owskiego wydania tekstu szybko pojawiła się odseparowana od tułowia głowa mężczyzny, właśnie niczym głowa we krwi, sprawnie odrysowana liniaturą tak zaokrągloną, jak w fantastycznych autografach nazwiska, które wówczas sporządzał. Nie ase-

kurował się – ani w sporządzaniu tego rysunku, ani przy kreśleniu rysunków kolejnych, dlatego nigdy by się nie domyślił, że tworzy coś, co (tym razem nazwijmy to za niego) mogliśmy nazwać przygaszonym, ezoterycznym tonem, formą uduchowienia, dajmy na to: *ecce homo popiełuskaniensis*. W tych szczególnych okolicznościach, na potrzeby niniejszej powieści, pozwolę więc sobie nazwać go Jerzym.

Po drugie, Swidrygałów. Mógł być na ulicy Makowskiej w Przasnyszu pewnego niedzielnego popołudnia, bo tam znajdował się najbliższy radioelektroniczny ośrodek wojskowy. W przejściu rudawozłotych liści wyobrażał sobie śmierć Swidrygałowa, o której stwierdzał z przekonaniem, że odbywała się u Dostojewskiego ze spowolnioną celebracją, celebracją, lecz bez liturgii (Jerzy nie był Castorpem). Co to w ogóle za słowo: *popiełuskaniensis*? Brzmi jak *varsaviensis* i mogłoby sugerować, że odżywają tu czyjeś warszawskie wspomnienia. Tymczasem Jerzy sprawnie, choć po prostu bardzo biernie, znał łacinę. To jasne, że nie miał szans nauczyć się jej w miejskim liceum, ale już na Uniwersytecie Warszawskim studiował ją pięć lat, na polonistyce i filozofii, wpieryw gościnnie w Kolegium Medycznym, potem zaś kolejno: zdając egzamin z własnoręcznie przełożonego fragmentu *Satyriconu*, a następnie tłumacząc na specjalnym translatorium *De Iesu Puero* Aelreda z Rievaulx (co zostało nawet odnotowane; czy czasem nie w którymś z numerów „Studiów Antycznych i Mediewistycznych?”). Czytając *De Iesu Puero*, miał dwadzieścia cztery lata. Dokładnie w tym samym roku kończył pracę nad Aelredem i beatyfikował Popiełuszkę, w swoim sercu i na swoich ustach. W istocie bowiem beatyfikacja, której był świadkiem, na kilka miesięcy go

zmieniła. Uczyniła kultystą, uczyniła przewodnikiem, jakkolwiek – jednoosobowego kultu, pseudochrześcijańskim braminem prowadzącym samego siebie, jak powie dzieliby kąśliwie Brytyjczycy, od *myself* do *thyself*.

Jerzy śmiałyby się z podobnych słów. Nazwałby to przygnębiającą podróbką autoinicjacji. Miałby prawo do podobnych nastrojów. Wiedział dobrze, od czego się zaczęło. Film *Popiełuszko. Wolność jest w nas* przeszedł w kinach bez większego echa, a demagogiczny tytuł sugerował grafomańską treść. Jurka ujęła jednak dobroć, którą Woronowicz, odtwórca roli księdza, zdołał wykryształizować w swojej postaci. To, co później się z nim działo, z pewnością rozgrywało się wbrew jego woli, co więcej, był to jeden z niewielu aspektów pożądania, które w jego życiu zmaterializowało się nieplanowane – nie wskutek ekspiacji, samopokarania, emfazy. Musimy sobie wiele wybaczać, szczególnie teraz, dlatego proszę o wybaczenie ze względu na przymus, z jakim muszę wyartykułować swoje kolejne przekonanie. Otóż było to pożądanie dobroci, jaśniej: było to pożądanie przez dobroć wywołane, była to dobroć wywołująca strumień energii niezwykle dojmującej, izolowanej, izolującej i przytłaczającej naraz, trudno nie powiedzieć: strumień energii seksualnej, choć dobrze wiemy, że zaledwie chwilę temu wymienilem wyłącznie składniki owej energii, a składniki nie determinują całości, lecz zaledwie ją organizują. Dobrze, przyjmijmy, że w niewątpliwej relacji uczucia łączącej Jerzego z Woronowiczem odgrywającym w 2009 roku Popiełuszkę narodziła się seksualna determinacja, nie stwierdziłbym jednak, że Jerzy poznał wówczas, poznał aż do trzewi, jeżeli mogę się tak wyrazić, przepalającą seksualność dobroci. Nie twierdzę, że energia seksualna dobroci nie istnieje, twier-